



Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza

RSW

„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

EXPRESS WIECZORNY

234

2-12-85

Z teatru

Krystyna Gucewicz

Lustra Geneta

Jean Genet — Balkon, przekład Maria Skibniewska, Jerzy Lisowski, reżyseria Andrzej Pawłowski, scenografia Marcin Stajewski, muzyka Janusz Stokłosa, ruch sceniczny Zofia Rudnicka, Teatr „Ateneum”.

PORZUCONY przez matkę, wychowanek wsi i poprawczaka, przestępca, skazany na dożywocie i ułaskawiony przez prezydenta Francji na prośbę wielu intelektualistów, m.in. Sartre'a i Cocteau. W 1949 roku wyszedł jego „Dziennik złodzieja”, przyswojony polskiemu czytelnikowi dopiero w ub. roku (!). A potem seria głośniejszych sztuk: Balkon, Parawany, Murzyni. Tyle — na ogół — wiemy o Genecie. Rzadko grywanym, bo też nie jest to autor łatwy ani dla widza, ani dla teatru.

Andrzej Pawłowski jest człowiekiem młodym i „widzi jasno w zachwyceniu”. Świat dzieli mu się na zły i myślący. Ludzie — na nas i na tamtych. Wiadomo po czyjej stronie jest sztuka: po naszej, myślącej. Co więcej — przy nas jest racja, bo żyjemy w 30 lat po Sartre, który kusząc przestrzegał przed Genetem. Pawłowski wie wszystko.

Bardzo buńczucznie brzmią te dywagacje reżysera, szczęśliwie ma on coś do powiedzenia poza tym, co napisał w programie.

To charakterystyczne, że wziął na warsztat Geneta, zaraz po Gombrowiczu („Pornografia” i „Trans-Atlantyk” także „Ateneum”). W świecie obu tych autorów sytuacje i postacie stwarzają się nawzajem. Dokonuje się wielka kreacja. Pusta i ceremonialna. I dlatego prowokująca. Dociekliwi pytają: „co też autor chciał przez to powiedzieć?”. Ano chciał. Chciał nazwać świat ludzkich pozorów po imieniu, doprowadzając do absurdu, do skrajności historię bywalców pewnego domu publicznego, który jest obrazem świata. Prawdziwy jest burdel, nieprawdziwe są przebrania gości, wcielających się w najróżniejsze role dla zaznania uciech. Ale potem, potem udanie staje się prawdą, umowa spo-

łeczna sankcjonuje nowe kostiumy i nowe role... życie toczy się dalej.

Genet każe się światu przegłądać w serii luster, jakie ustawia sam — dosłownie i w przenośni. Mamy się odbić w tych lustrach, ważąc swoje fałsze, swoją obłudę, swoje pozory. Nie wiem, czy tak się dzieje. Ten moralizatorski zamysł dziś oddala się chyba. Zostaje teatr. Radość obcowania z aktorstwem wysokiej próby, z grą sceniczną, prowadzoną zrećznie. Tak to właśnie jest, a i publiczność, wygodnie usadowiona w krzesłach, jest w teatrze po to, żeby tego Geneta podglądać, nie żeby poddawać się psychodramie, jak to przed laty w Łodzi zrobił Grzegorzewski.

Podglądajmy więc. Spektakl jest błyskotliwy. W świetnym tempie pomysła, wprowadzając pomysłowe sytuacje i aktorskie, wyborne role. Na czele tego ansamblu, Barbara Wrzesińska jako Irma-królowa. Aktorka, której teatr ostatnio nam skąpił, stworzyła tu wielką kreację. Ona bodaj jest najbliższa autorskiemu marzeniu o aktorce — żywej marionecie, oszczędnie operująca gestem, poprzez niuansowe zmiany barwy głosu, mimiki wydobywa od razu najwłaściwszy ton.

Atutem tego przedstawienia jest także scenografia. Stajewski zbudował przedziwny fotoplastikon, efektowny i funkcjonalny. Jednym słowem, wszystkie elementy tego przedstawienia osiągnęły godne wyżyny.

Co wcale nie znaczy, że będzie się chodziło na „Balkon” dla tych watorów. Jak to w Warszawie — gruchnie wieść, że dowcip jest perwersyjny, a dziewczyny ładne. Inni powiedzą, jak poeta Lechoń, że to teatralne „łajno”. Bo jest to teatr ciągle żywej prowokacji scenicznej i myślowej.